



BEZPAŃSKI

Ballada o byłym gliniarzu

Jakub Ćwiek

Adam Bigaj

MARGINESY



1

Jakiś mądrala z telewizji powiedział kiedyś, że ludzie wstępują do policji, by za pomocą munduru stać się autorytetami na ulicy i zyskać społeczny szacunek. Mocno mnie to, pamiętam, ubawiło. Pewnie właśnie z tego szacunku w świadomości społecznej funkcjonujemy jako psy, a wdzięczna młodzież pisze na murach HWDP. Takie koślawe graffiti to przecież prawie jak pomnik zasług.

Ktoś powie: no tak, ale to teraz. Bo przecież kiedyś było inaczej. I ma rację, faktycznie było. W marcu na przykład, gdy po ukończeniu wszystkich testów stawiłem się konkretnego dnia o wskazanej godzinie przed komendą Wrocław Śródmieście, przed oczami wciąż miałem wykrzywione niesmakiem twarze kumpli z dzielnicy, a w głowie ciągle słyszałem te same pytania: „Pojechało cię? Do psiarni?”

Rzeczywiście mój wybór ścieżki zawodowej mógł dziwić. Czasy przecież niespokojne, w sklepach pusto i wszystko w drugim, wymiennym obiegu. Kombinatoryka stosowana to chleb powszedni, inaczej się nie da. Zawiniesz z zakładu nadwyżkę papy, to może uda ci się wybębnić cukier. Masz świętą ikonę po dziadku? Będzie z tego z pięćdziesiąt rolek toaletowego.

Wódka za kartki na mięso, ser na dziecko w książeczkę zdrowia, cinkciarze i spekulanci powoli wyrastają na panów i jeszcze nieświadomie szykują sobie grunt pod szalony kapitalizm lat dziewięćdziesiątych. A w tym wszystkim władza na pasku ruskich

miota się coraz bardziej, bo już pokazała, że może krwawić i nie jest nie do ruszenia. W kraju robi się goręcej, wszystko się polaryzuje, a najgorzej mają oczywiście ci, co są na pierwszej linii frontu. Powiedzieć, że lud nie kochał milicji i jakoś nie dowierzał w zawarty w jej nazwie przymiotnik „obywatelska”, to nic nie powiedzieć.

U mnie dochodziła jeszcze specyfika dzielnicy. Gdy byliśmy dziećmi, z kumplami bawiliśmy się w Indian i kowbojów, podczas gdy starsi zupełnie na poważnie grali z władzą w policjantów i złodziei. Śródmieście niby znajdowało się w środku wielkiego miasta, ale życie w tych naszych przedwojennych kamienicach, niegdyś zamieszkiwanych przez Niemców i Żydów, toczyło się jak na dalekiej wsi. Wszyscy wiedzieli o sobie wszystko, pożyczali sobie jajka i cukier, chlali i chodzili na włamy. Gdy wracali z łupem, chlali jeszcze więcej i opowiadali, jakie to kiedyś były czasy.

„Mówię ci, młody, kiedyś tu takie zakapiory mieszkaly, że jak psiarnia chciała wejść, to zaraz stadem, tak się wpierdolu wali” – mówili starzy, gdy któryś z nas się przypalał. A my, w tych zawiniętych rodzicom kapeluszach albo z kurzymi piórami we włosach i w barwach wojennych namalowanych na twarzy węglem i rdzą, wyobrażaliśmy sobie te epickie zadymy, jakby to były średniowieczne rycerskie bitwy.

Tak, Śródmieście trzymało się razem niczym jedna wielka patologiczna rodzina. Wszystkie dzieciaki były wspólne i można było od sąsiada dostać zarówno jabłko, jak i poślizgowym przez łeb. Gdy jakiś dobry chłopak szedł do pierdła, reszta dbała o rodzinę, bo przecież wiadomo, dziś ten wpada za włam, jutro tamten za rozbój – nigdy nie wiesz, co przyniesie kolejny dzień.

My, najmłodszy, niczym sieroty z powieści Dickensa, poznawaliśmy okolicę w sposób iście ekstremalny. Do dziś, gdy przechodzę koło mostu Grunwaldzkiego, mam ciarki na wspomnienie,

jak wspinaliśmy się po jego przesłach, by odkryć znajdujący się tam tunel pełen gołębic odchodów i jaj. Te ostatnie były wyśmienitą amunicją i mieliśmy masę frajdy, rzucając jajkami w niespodziewających się niczego przechodniów.

Potem, gdy podrośliśmy i zmieniły nam się priorytety, obławowani rajskimi jabłkami z ogrodu botanicznego chodziliśmy na kurwidołki podglądać bzykające się parki. Skoro im nie przeszkadzało, że ruchają się w centrum miasta, czemu my mielibyśmy się z tym czuć źle? Jaraliśmy podkradzione papierosy, chlaliśmy, co udało się podebrać starszym z maszynki, i gadaliśmy o dupach. Nakręceni coraz mocniej akcjami z krzaków i opowieściami kolegów, coraz śmiejiej podejmowaliśmy pierwsze próby seksualnych podbojów.

Gdzieś w tym wszystkim wciąż przewijał się temat tego, co się robi na dzielni. Byliśmy już w takim wieku, że ten czy tamten dołączał do jakiejś grupy, którą ciężko nawet nazwać gangiem. Było ich w naszej dzielnicy kilka, wszyscy wiedzieli, która czym się na parafii zajmuje. Byli tacy, co schlani na umór walili klientów na ulicy, inni specjalizowali się we włamach do mieszkań.

Żartowaliśmy, że u nas to tylko tacy, co siedzieli, siedzą albo siedzieć będą, i nikogo specjalnie ta perspektywa nie przerażała.

„W pierdłu, jak nie jesteś cwel albo polityczny – mówili stali bywalcy – to nie ma tragedii”.

Oczywiście, jak łatwo się domyślić, przy takim stopniu otwartości i zażyłości największym dobrem i najwyższą wartością była lojalność. Kapusia traktowano gorzej niż wesz i jeśli padał na ciebie choć cień podejrzenia, robiłeś wszystko, by się spod niego wydostać. Jeśli nie, jedyną formą kontaktu z dzielnicą było, gdy jeden z drugim brali cię na buty.

Jak więc to możliwe, że mimo deklaracji, że chcę zostać milicjantem, udało mi się nie tylko przeżyć, ale i utrzymać kon-

takt z dawnymi znajomymi? Mówiąc szczerze, nie wiem. Może chodziło o to, że od początku grałem w otwarte karty, żadnych podchodów, ściemniania, donoszenia na boku – ja wprost, co zamierzam, oni, co o tym sądzą i że chyba mnie posrało. A może wierzyli, że będę takim Hansem Klosssem? W zniestanym mundurze, ale grającym na dwa fronty, by wspierać swoich? Czego by jednak nie myśleli, choć na mój pomysł na życie patrzyli krzywo, że mną samym większego problemu nie mieli.

Miało to znaczenie o tyle, że aby wstąpić do milicji, musiałem poddać się szczegółowej weryfikacji. Dzielnicowy kłął w żywy kamień, robiąc środowiskowy wywiad wśród sąsiadów, sprawdzano wszystkich członków mojej rodziny z nieżyjącymi włącznie. Robiono to tym uważniej, że właśnie nastał stan wojenny i pilnowano, by w struktury nie wpełzł żaden wywrotowy Wallenrod. Przyznam, że nie raz się zastanawiałem, jak przebiegał ten cały proces. Musiała być z tym cała masa zabawy dla kogoś patrzącego z boku – a stężenie nisko latających kurew pewnie mocno przekraczało dopuszczalne normy.

Słodką polewą na tym torcie były badania lekarzy specjalistów współpracujących z milicją, a swoistą wisienką – konfrontacja z psychiatrą, panią życia i śmierci. Tak naprawdę od jej decyzji wszystko zależało. Stwierdziła, żeś debil, i mogłeś wracać z lornetką w krzaki obok kurwidołków, bo w milicji nie miałeś czego szukać. Co gorsza, wiadomości, jak ci poszło, nie dostawałeś od ręki, kazali czekać, aż zostaną podjęte stosowne decyzje.

W końcu jednak zostałem przyjęty i przydzielono mnie do służby. Zaczynać miałem w kryminalnym w komendzie blisko mojego miejsca zamieszkania i byłem z tego powodu tak szczęśliwy i dumny, że mało nie eksplodowałem. Tym bardziej

że całą tą nadymającą mnie radością nie miałem się z kim podzielić.

I wreszcie przychodzi ten dzień. Pierwszy marca, ja po wszystkich testach stoję przed komendą – niepozorną szarą willą, zupełnie nijaką na tle okolicznych budynków. Przed oczami, jak wspominałem, skrzywione miny kumpli. W uszach ich opinie na temat mojego zdrowia psychicznego mieszają się z wyciem i ujadaniem psów. Opóźniając moment symbolicznego przekroczenia progu komendy, obszedłem budynek i zobaczyłem trzy kojce, a w każdym z nich pięknego owczarka niemieckiego. Na co się tak wściekały, nie mam pojęcia, ale wtedy obstawiałem, że nikt ich nie nakarmił po nocnej robocie. A dla psa, wiadomo, pełna micha jest ważna, podobnie jak docenienie jego dobrze wykonanej pracy.

Gdy w końcu zdecydowałem się wejść do budynku, już od progu uderzyła mnie gęsta, dławiąca fala smrodu dochodząca z piwnicy. Gdy zapytałem o to później, w odpowiedzi usłyszałem, że „tak jebie zbrodnia”. Na dole, rzecz jasna, znajdował się dołek dla złodziei.

O ile z zewnątrz komenda wyglądała po prostu normalnie i niczym się nie wyróżniała, w środku było zwyczajnie biednie. Ponure korytarze skąpane w niedoświetlonej szarości, farba odłaziła ze ścian, odrapane drzwi wyglądające jak z szabrow na ponemieckich ruinach. Nie spodziewałem się złotych klamek czy klimatów rodem z amerykańskich seriali, ale i tak całość robiła wrażenie dość przygnębiające.

Nie zrażałem się jednak. Skierowany przez dyżurnego na pierwsze piętro, zapukałem do właściwych drzwi i wszedłem do środka. Wewnątrz siedziało kilku mężczyzn, niektórzy skupieni na przeglądaniu papierów, inni pogrążeni w rozmowie.

Przedstawiłem się i zapytałem o naczelnika wydziału, a wtedy zza jednego z biurków podniósł się szpakowaty mężczyzna z wą-

sem o barwie soli z pieprzem. Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę.

– To pan jest tym nowym funkcjonariuszem? – zapytał.

Potwierdziłem, a wtedy on również się przedstawił, a następnie zapoznał mnie ze swoim zastępcą, porucznikiem Piotrem. Ten również podał mi rękę, powiedział, że ma nadzieję, że będzie mi się dobrze pracowało, i życzył powodzenia w służbie. Obaj zachowywali się tak, jakby naprawdę cieszyła ich moja obecność, a po kilku słowach byliśmy już niczym starzy koledzy, znający się od zawsze. Oczywiście byłem zadowolony z takiego stanu rzeczy, ale również trochę zaskoczony. Dopiero później dotarło do mnie, że zachowywali się tak, bo oto właśnie zmieniłem stronę. Nie stałem już w linii bandziorów z dzielni, zawracających dupę upierdliwych petentów czy tych, którzy na widok munduru zaplatają palce i plują przez lewe ramię. Dla tych dwóch byłem już „swój”.

– Zaraz, kochany, przedstawię pana pozostałym kolegom z wydziału – zapowiedział naczelnik. Musiałem mieć głupią minę, gdy usłyszałem słowo, jakim mnie określił, ale szczęśliwie obaj milicjanci albo nie zwrócili na to uwagi, albo nie dali nic po sobie poznać. Później dowiedziałem się, że ten „kochany” to stały wtręt naczelnika, używany wobec wszystkich podwładnych tak często, że pewnie nawet go już nie rejestrowali.

To jednak, jak zaznaczyłem, nastąpiło dopiero później. W tamtym konkretnym momencie, od chwili rozpoczęcia służby w tej znienawidzonej powszechnie formacji, jaką była Milicja Obywatelska, trzeba było ledwie kwadransa, bym dla niej samej został „kochanym”.

Jurek, dwóch Krzyśków, Remek i ktoś jeszcze. Pięciu gości, w tym jeden na tyle gruby, że mógłby uchodzić za dwóch. Wszyscy upchnięci za masywnymi biurkami w pomieszczeniu tak ciasnym, że procedura wstawania przez każdego z nich, by mnie przywitać na służbie, stanowiła logistyczne wyzwanie. Widać jednak, że robili to nie po raz pierwszy, bo wszystko zdawali się mieć przeciwiczone. Kto kiedy wciąga powietrze i jak długo musi wytrzymać na bezdechu, kto wbija bebech w blat, a kto prostuje się i podwija nogi.

Można by pomyśleć, że skoro sprawilem im tyle fatygi, powinni mnie z miejsca znienawidzić. Ale nie, sen trwał, wszyscy się uśmiechali, rzucali miłe komentarze, poklepywali po ramieniu i witali na służbie. Ja ze swojej strony starałem się zapamiętać ich imiona, wyczuć atmosferę i na razie bezskutecznie wychwycić subtelne sygnały zdradzające niekoniecznie formalną hierarchię w zespole. A może wcale nie? Może moją jedyną myślą było wtedy: jak ja się tu do cholery wcisnę z dodatkowym biurkiem? Albo chociaż krzesłem?

Naczelnik jakby czytał mi w myślach. W pewnej chwili dał znak, że dosyć tego dobrego, polecił funkcjonariuszom wracać do pracy, a mnie zaprowadził do pokoju obok. Pomieszczenie było sporo mniejsze niż klitka, z której właśnie wyszedłem, i mieściły się w nim tylko dwa biurka. Za jednym z nich siedział elegancki mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli, wyglądający, jakby zaraz miał się urwać na jakąś poważną rodzinną uroczystość. Dopiero po chwili dostrzegłem lekko poluzowany krawat oraz ten rodzaj eleganckiej swobody ruchów, jaki zwykli prezentować ludzie, dla których garnitur jest codziennym strojem.

Gdy weszliśmy, mężczyzna podniósł się zza biurka, jednocześnie wprawnym ruchem zapinając guzik marynarki.

– To jest pan Kazimierz – przedstawił mężczyznę naczelnik.
– Z nim będzie pan pracował i na pewno dużo się pan od niego nauczy. Panie Kazimierzu, to nasz nowy funkcjonariusz, od teraz pod pana opieką.

– Rozumiem. – Mój nowy mentor uważnie, acz bez ostentacji, zmierzył mnie wzrokiem. – Dzień dobry.

– To ja już panów zostawię. – Naczelnik uznał najwyraźniej, że ceremonia dobiegł końca, jeszcze raz życzył mi powodzenia i wyszedł.

Pan Kazimierz wrócił za biurko, usiadł, rozpinając guzik marynarki, i wyciągnął ręce nad blatem, prezentując mankiety nieskazitelnie białej koszuli. To właśnie za sprawą takich drobnych gestów, na każdym kroku podkreślających szyk i krawaciarski styl, mój mentor, jak się później dowiedziałem, dorobił się na komendzie ksywki Sztyfcik.

– Pan sobie siądzie. – Wskazał mi wolne miejsce przy drugim biurku. Nie zabrzmiało to jak propozycja; Sztyfcik miał głos jakby stworzony do wydawania poleceń służbowych. – Umie pan pisać na maszynie?

Przejęty, zawahałem się, choć przecież było to proste pytanie.

– Tak, umiem – przyznałem w końcu.

Mój mentor przyjrzał mi się uważnie, mrużąc oczy, po czym przesunął po biurku stos notatek.

– Dobrze, tu ma pan na brudno wszczęcie i plan opracowania operacyjnego, proszę to przepisać.

Kategoryczność tonu w połączeniu z wcześniejszym badawczym spojrzeniem sprawiły, że nie odważyłem się zapytać, co u diabła znaczy owo „opracowanie operacyjne”. Miałem nadzieję, jak się okazało, słusznie, że uda mi się to wywnioskować

śamemu już w trakcie przepisywania. I rzeczywiście. Choć samo stukanie w klawisze nie było moim ulubionym zajęciem, z każdą linijką wklepanego tekstu czułem narastającą dumę. Nie było opieprzania się, już pierwszego dnia dostałem prawdziwy konkret! Solidną milicyjną robotę w wykonaniu prawdziwego fachury!

Przepisując brudnopisy, dowiedziałem się na przykład, że w orbicie zainteresowań pana Kazimierza znajdowała się grupa przestępcza zajmująca się włamami do mieszkań. Właściwie wszystko było już niemal przygotowane do realizacji. Sztyfcik miał w notatkach kompletne namiary na każdego z członków bandy i szczegółowo opisany *modus operandi*. Wiedział, który paser wypożycza im kłamoty na akcję – takie jak przyrządy do otwierania zamków – i jaka jest za to jego dola. Miał też w ekipie swojego kapusia, który o wszelkich ruchach bandy na bieżąco go informował. Słowem: konkret, a do tego masa materiału do analizy dla takiego żółtodzioba jak ja.

Cieszyłem się jak cholera, że karierę kryminalnego zaczynałem właśnie w ten sposób, a nie od liczenia słoików w piwnicy, i na każdym kroku starałem się pokazać, że zasługuję na daną mi szansę. Dreptałem za swoim mentorem jak piesek, nie odzywając się niepytany i karnie wykonując wszelkie polecenia, nawet takie, które z początku wydawały mi się niezrozumiałe. Znałem swoje miejsce w szeregu, wiedziałem, że jestem najmłodszy w wydziale i sierżanci, paniska, to zupełnie inna liga. Sztyfcik był chyba zadowolony, bo po jakimś czasie uznał, że wystarczy tego „panowania” i kazał mi mówić do siebie po imieniu. Tak został Kaziem, a ja, choć jeszcze wciąż musiałem się dużo nauczyć, uznałem, że w jakiś sposób zakończył się dla mnie okres próbny.

Przez cały ten czas oswajałem się z komendą. Nauczyłem się, jak się wcisnąć do pokoju z pięcioma biurkami i zająć tam miej-

sce na tyle wygodne, by udało się przetrzymać codzienną odprawę. Naczelnik każdego ranka informował nas o nowych zdarzeniach oraz o tym, kogo z dołka należy wziąć na rozliczenie, bo delikwent już odpowiednio skruszał. Tak, pobyt na dołku potrafił zmiękczyć i nakłonić do rozmowy. Już sam wspomniany smród, mieszanina potu, moczu, kału i innych wydzielin, doprawiona piwniczną wilgocią, robił swoje. Do tego dochodziło jeszcze towarzystwo: równie dobrze mogli się trafić menele z Albercika, wokół których smród był tak gęsty, że wyglądał jak mgła, co elegancki pan czy damulka jakby zupełnie z innej bajki. Wszyscy dostawali na noc koce z przydziału, prane może raz na rok. Dotknij taki koc, a żołądek przypomni sobie wszystkie posiłki od czasów dzieciństwa. Spędź pod nim noc, a rano, wyglądając jak przeżuta i wysrana przez krowę wersja siebie, będziesz tak miękki i skory do współpracy, jak to tylko możliwe.

O ile w piwnicy, gdzie mieścił się dołek, zdarzało mi się bywać często, na strych zaglądałem sporadycznie, a z początku wcale. O tym, że jest tam jeszcze jeden pokój należący do wydziału kryminalnego, dowiedziałem się, gdy zapytałem o trzech nieznanym mi wcześniej gliniarzy, którzy co rano zjawiali się na naszej odprawie. Byli to, jak się okazało, poszukiwacze, czyli goście szukający czy to zaginionych, czy już rozpracowanych i poszukiwanych złodziei i bandytów, których należało wsadzić do pierdła. Zwykle mieli swoją robotę, a my swoją, więc poza odprawami właściwie się nie widywaliśmy. Czasem tylko, w przypadku grubszych operacji, gdzie liczyła się każda para rąk, wykorzystywaliśmy ich jako fizyczną pomoc.

Uczenie się komendy to jedno, ale najbardziej zależało mi oczywiście na dobrym poznaniu wydziałowych towarzyszy broni. Nie było to z początku proste, bo choć mili i uprzejmi, nie garnęli się specjalnie do zwierzeń, zwłaszcza żółtodziobowi. Z czasem

i z kolejnymi sprawami przetykanymi biurokratyczną codziennością poznawaliśmy się jednak coraz lepiej.

Na przykład Jurek. Mógłbym subtelnie określić go słowem „masywny”, ale gdy go poznałem, był zwyczajnie gruby i właśnie tak na niego mówiono. Sympatyczny, rubaszny wręcz sierżant miał czasem w oku taki błysk, że podświadomie się prostowałeś. Powiedziano mi, że był kiedyś bokserem, na co on sam bardzo się oburzył.

– Bokser to, kurwa, taki pies. Ja byłem pięściarzem! – zawołał i jakby na dowód uniósł zaciśniętą, wielką jak chleb i na oko twardą jak kamień pięść. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: jak zwał, tak zwał, ale za nic nie chciałbym się znaleźć w zasięgu tej łapy.

Gruby miał w swoim przydziale służbowym spory teren, szczególnie na peryferiach miasta, w zabudowie rolniczej, i trzeba przyznać, był tam trochę jak szeryf z miasteczka na Dzikim Zachodzie. Znał wszystkich, od lekarza po lumpa i złodzieja, i wszyscy znali jego, odnosząc się z szacunkiem nie tylko do jego funkcji i munduru, ale zwłaszcza do niego jako człowieka. Dla wszystkich był tam panem Jurkiem.

Z czasem dowiedziałem się o nim czegoś jeszcze – Gruby miał fuchę na boku. Nic niezwykłego, każdy starał się jakoś dorabiać i w miarę możliwości korzystać z nadarzających się okazji. Dla Jurka okazję stanowiły firma jego żony i jej zgniłokapitalistyczny zmysł handlowy.

Ich biznesplan nie był specjalnie skomplikowany. Ona dysponowała towarem, czyli prażonym słonecznikiem, a także prażnikami i chrupkami produkowanymi w należącej do niej przetwórni. On miał rynek zbytu i pewien, nazwijmy to, specjalny atut, czyniący z niego doskonałego sprzedawcę. W swojej wąskiej handlowej specjalizacji i na określonym terenie, przypadkowo ściśle pokrywającym się z jego rewirem, nie miał specjalnie kon-

kurencji. No bo kto byłby na tyle szalony, by podejmować rywalizację z człowiekiem powszechnie szanowanym, wzbudzającym sympatię, a do tego reprezentującym twardą literę prawa?

Widok bagażnika jego fiata wypełnionego po brzegi workami słonecznika był dla nas tak powszedni, że nawet już z tego nie żartowaliśmy. Ot, koloryt.

Zresztą powiedzmy sobie szczerze: wobec praktyk jednego z Krzyśków, zwanego przez nas Szyjką, działalność Grubego wydawała się dziecięcą amatorką. Szyjka był niski, masywny, ale nigdy nie przekroczył cienkiej granicy dzielącej człowieka tęgiego od grubasa. Zaprawiony w boju glina, fachura, o oczach, w których raz po raz błyskał figlarny ognik. Czasem oznaczał on cwańskie rzucenie wyzwania światu, bywało, że kpinę i lekceważenie dla takich czy innych zachowań przełożonych. Gdyby skupiał się całkowicie na robocie, miałyby wyniki godne pozazdroszczenia, jako że świetnie sobie radził, zwłaszcza ze złodziejami.

On jednak nie miał na policyjną robotę zbyt dużo czasu, bo ciągle był zajęty ważniejszymi sprawami. I trzeba przyznać, że w tych innych tematach miał jeszcze większą skuteczność. Smutne czasy komuny i pustych sklepowych półek? Powszechny brak towarów luksusowych? Przy Szyjce można było o tym wszystkim zapomnieć, bo jeśli się czegoś naprawdę chciało i udało się z Krzyśkiem dogadać, nie istniały dla niego rzeczy niemożliwe.

Miał łeb jak sklep. Dosłownie. Wystarczyło posłuchać jego rozmów telefonicznych, by wiedzieć, co gdzie ma wzięcie, ile tego za tamto i co jest obecnie artykułem pierwszej potrzeby, a więc walutą, za którą dostaniesz pozostałe dobra. Czasem na mieście wchodziliśmy do jakiegoś sklepu i byliśmy świadkami, jak pralkę czy kolorowy telewizor Szyjka przeliczał na przykład na salami. Które żadną miarą nie było finalnym przedmiotem transakcji, a jedynie ogniwem łańcucha, którego koniec znał tylko Krzychu.

Szyjka był też, warto to podkreślić, znakomitym doradcą. Nawet jeśli załatwiał się cokolwiek bez jego pośrednictwa, zawsze można się było od niego dowiedzieć, jaki jest na przykład najlepszy wzór na firany i z czego powinny być wykonane. Znał się na wszystkim i nieraz się zastanawialiśmy, dlaczego robił u nas, w kryminalnym, a nie został po prostu pegowcem, jak nazywaliśmy tych z wydziału przestępstw gospodarczych.

Bywało, że Szyjka balansował na krawędzi. Raz, po kilkudniowym urlopie, przyznał się po cichu, że był za granicą, wybrał się na Węgry na handel. Miał swoje kontakty na tamtejszych targach, wiedział, co najlepiej tam chodzi, więc zapakował towar i pojechał. Pech chciał, że nasze mundurowe bratanki akurat wtedy zdecydowały się na zrobienie nalotu na stoiska, swoją szczególną uwagę poświęcając handlarzom znad Wisły. Szyjka wpadł, stracił cały towar i przesiedział na węgierskich dechach czterdzieści osiem. Byłoby gorzej, ale był na tyle rozsądny, że nie wziął gliniarskiej legitymacji ani też nie przyszło mu do łba powoływać się na zawodową solidarność. Odsiedział swoje, wypełnił kwity i wrócił do kraju, ostatecznie uznając całą akcję za wliczone ryzyko.

Czy to doświadczenie go zmieniło? W żadnym razie! Nadal, gdy doprowadzano mu kogoś z dołka, pierwszym pytaniem, jakie Szyjka zadawał delikwentowi, było:

– Gdzie pan pracuje i co tam można załatwić?

To, czy ostatecznie przechodził do powodu zatrzymania, zależało już tylko od odpowiedzi.

Zdarzyło się też kiedyś, że Krzysiek dostał pacjenta, akurat gdy prowadził bardzo obiecującą rozmowę telefoniczną. Chodziło o kiełbasę krakowską. Okazało się, że jest interes, więc wstał jak gdyby nigdy nic, ubrał się, teczka pod pachę, czapa z królika na łeb.

– Czekał tu, zaraz wracam – powiedział do zatrzymanego i wyszedł.

Bywało, że jego „zaraz” faktycznie oznaczało dość krótki od-cinek czasu, ale tym razem minuty szły w godziny, a te powoli w całą dniówkę. Facet siedział, kuląc się w sobie, nudząc i bojąc zapytać choćby o łazienkę. Doszło do tego, że już nawet naczelnik pytał, co to za jeden i co tu właściwie robi.

W końcu zadowolony z siebie Szyjka wrócił, zdjął czapę, kurtkę i już miał usiąść za biurkiem, gdy nagle zmarszczył czoło.

– A ty to kto? – zapytał. – Co ty tu robisz?

Zatrzymany zrobił wielkie oczy.

– Noo, kazał mi pan tu rano czekać, więc czekam i...

– Kurwa, chłopie – zirytował się Szyjka. – Idź mi stąd! Na dechy wracaj!

Zabrał faceta na dół, profosowi na dołku przekazał, że sprawa rozwojowa, ale trzeba będzie jeszcze jutro nad gościem popracować, bo temat szeroki.

Mimo komplikacji i niedogodności skłamałbym jednak, twierdząc, że zarówno nam, jak i przełożonym działalność kolegi Krzyśka przeszkadzała. Nieraz jego niezwykle umiejętności okazywały się wręcz bezcenne.

Na tle barwnego Szyjki drugi z Krzyśków mógł uchodzić za postać nijaką i nieciekawą. By się przekonać, że to nieprawda, trzeba go było lepiej poznać, co mi się udało. Mimo że Barbi, jak na niego mówiliśmy, był w stopniu porucznika – a to znaczyło, że w korpusie dzieliła nas przepaść – dość szybko przekonałem się, że jest dobrym kolegą, który nie zadziera nosa, i sprawnie wypracowaliśmy płaszczyznę porozumienia. Ta z czasem przerodziła się w solidną przyjaźń. Do zawodowych zainteresowań Barbiego zaliczali się przede wszystkim złodzieje samochodów, których tropił skrupulatnie i cierpliwie, z niezwykłą zawziętością.

No i był jeszcze Fred. Ten jednak zasługuje na osobny rozdział.

Psy rzadko bywają dobre albo złe. Najczęściej są takie, jak zostaną wychowane.

Historia spisana przez Jakuba Ćwieka to zapis przeszło trzydziestoletniej służby Adama Bigaja (ps. „Księżuniu”), w latach 90. kierownika sekcji zabójstw na wrocławskim starym mieście, później naczelnika wydziału kryminalnego w słynnym Trójkącie Bermudzkim.

To opowieść o „psiej służbie”: współpracy szeregowych milicjantów z SB i Kościołem, zabezpieczeniu kolejnych papieskich pielgrzymek, walce z mafią, skutkami powodzi i dopalaczami. Medialne sprawy, o których słyszała cała Polska, są tu pokazane z zupełnie innej perspektywy.

Przede wszystkim jednak to książka o funkcjonariuszach. O nieoczywistych przyjaźniach, cenie, jaką płaci się za bycie dobrym gliną, trudnych wyborach osobistych i próbie budowania rodziny na podstawie usypanej z telefonów o każdej porze, włamów i trupów.

A także... o zmaganiach policji z jej największym wrogiem – samą sobą. O tym, jak na służbę wpływają roszady polityczne, jakie są skutki korupcji, nepotyzmu i podporządkowania działań słupkom statystycznym.

cena 39,90 zł



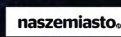
w sprzedaży także



PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl



PORTAL
KRYMINALNY

POCISK
MAGAZYN O POLICJI I KRYMINALISTYCE

na EKRANIE.PL

